

---

## **BIURO PROJEKTOWE**

### **Miejskie Biuro Projektowe \* Starszy projektant \* Trzy stopnie uprzemysłowienia \* Ślub i wieczysty dług**

Od 1 maja 1959 r., po 3-miesięcznym okresie wypowiedzenia, rozpocząłem pracę w Miejskim Biurze Studiów i Projektów Budownictwa w Krakowie. Biuro to powstało na bazie istniejącego od sześciu lat Wojewódzkiego Biura Projektów. W 1957-58 r. WBP otrzymało pokaźny pakiet zleceń na nowe inwestycje w Krakowie.

W ślad za tym Prezydium Rady Narodowej miasta Krakowa podjęło w styczniu 1959 r. uchwałę o rozbudowie biura i jego przekształceniu w MBSiPB. Miało ono odtąd zająć się opracowywaniem dokumentacji projektowych wyłącznie dla miasta Krakowa. Między innymi dla nowych osiedli Azory, Akacyjowa i Bieńczyce. Miastoprojekt-Kraków przestał więc pełnić rolę monopolisty w tym względzie.

Osiedle Azory, zaprojektowane przez inż. M. Turskiego dla 20 tysięcy mieszkańców, wchodziło do realizacji już w 1960 roku. Realizacja osiedla Akacyjowa, autorstwa inż. S. Sitarskiego, o wielkości 2000 izb dla 3 tysięcy mieszkańców, miała rozpocząć się kilka lat później.

Projektowanie zaś wielkiego osiedla Bieńczyce biuro podjęło się, zatrudniając laureatkę konkursu urbanistycznego na to osiedle. W ten sposób Miastoprojekt-Kraków stracił też ścisły dotąd monopol na opracowania projektowe dla miasta-dzielnicy Nowej Huty. Aby sprostać nowym zadaniom MBSiPB zwiększyło swój stan zatrudnienia. Powstały też nowe pracownie projektowe. Dyrektorem biura w tym okresie był arch. Karol Orłowski.

Podstawowymi jednostkami organizacyjnymi biur projektowych w kraju były pracownie projektowe. W biurach budownictwa ogólnego były to najczęściej pracownie wielobranżowe, z których każda wykonywała pełną, kompleksową dokumentację dla zleczanych jej zadań i przedsięwzięć inwestycyjnych.

Struktury pracowni też były proste i czytelne. W jej skład wchodził kierownik, sekretarka-ekonomistka i branżowe zespoły projektowe. Zespoły zaś tworzyli projektanci, asystenci i pomoc techniczna, czyli kreślarze. Stanowiska projektanckie miały swą gradację: młodszy projektant, projektant, starszy projektant. Podobnie asystenci.

Żeby być starszym projektantem, to prócz odpowiednich studiów wyższych, trzeba się było legitymować wieloletnią pracą i doświadczeniem projektowym. Najczęściej świeży absolwent, np. architektury, przyjmowany był wprawdzie na stanowisko asystenta. Dopiero w biurze piął się po szczebelkach projektanckich, aż do starszego projektanta.

W tym okresie w biurach projektowych pracowało jeszcze bardzo mało kobiet. W zawodach projektanckich dominowali bowiem wtedy zdecydowanie mężczyźni. Na przykład na moim roku wydziału Architektury we Wrocławiu na stu studiujących było tylko 11 koleżanek. Sytuacja ta zmieniła się powoli. Po kilkunastu latach istnienia dużych państwowych biur projektowych sfeminizowały się one, podobnie jak wiele innych dziedzin życia społecznego w Polsce.

Stanowisko starszego projektanta było w ogóle najwyższym stanowiskiem w biurach projektowych. Kierownik pracowni czy dyrektor to były funkcje, które można było uzyskać, bądź utracić. Starszym projektantem zostawało się na zawsze. Zresztą kie-

rownikami pracowni i dyrektorami biur projektowych zostawali zwykle starsi projektanci. Mogli być jeszcze głównymi, lub generalnymi projektantami, ale to były funkcje sprawowane na czas opracowywania przez nich swych dużych, lub bardzo dużych projektów.

Ja od razu zaangażowany zostałem na stanowisku starszego projektanta. Uznano mój dotychczasowy, niemały zresztą, dorobek projektowy z czasów studiów i w okresie wieloletniej pracy zawodowej. Przeszedłem też do biura z konkretnymi poważnymi zleceniami projektowymi. Może również brano pod uwagę, że to ja, praktycznie biorąc, wylansowałem biuro i zmianę jego dotychczasowego profilu działania, przez udzielenie wcześniej sporych zleceń krakowskich.

Mą pierwszą pracą biurową była analiza techniczna kilku powtarzalnych sekcji mieszkaniowych, projektowanych w I, II i III stopniach uprzemysłowienia.

I stopień uprzemysłowienia to była prefabrykacja stropów i klatek schodowych.

Jako II stopień określano budynki wielkoblokowe, w których również ściany były wykonywane z bloków wielkowymiarowych. Drugi stopień uprzemysłowienia miał już wkrótce stać się w Krakowie, podobnie zresztą jak w całym kraju, podstawową technologią w budownictwie kubaturowym. Asortyment produkcji elementów wielkoblokowych pozwalał na budowę w tej technologii również szkół, przedszkoli i innych obiektów użyteczności publicznej.

Przez III stopień uprzemysłowienia w budownictwie określało się budownictwo wielkopłytowe. Miało polegać na montażu budynków z dużych płyt ściennych i stropowych o wielkości izby mieszkalnej. W tym wielkopłytowym budownictwie mieszkalnym upatrywano jedyną szansę na dalsze poważne zwiększenie planów budownictwa mieszkaniowego w Polsce, zgodnie ze wskaźnikami przyjmowanymi dla kolejnego planu 5-letniego na lata 1961-65. Faktycznie rozwój budownictwa mieszkaniowego był w tamtych czasach bardzo szybki i w latach 1955 - 60 - 65 oddano do użytku w Polsce kolejno 89,0 - 142,1 - 170,0 tysięcy nowych mieszkań.

Opracowana przeze mnie analiza porównawcza sekcji mieszkaniowych, aktualnie stosowanych w Krakowie w I stopniu uprzemysłowienia, z projektowanymi dla II i III stopnia, wykazała najlepsze wskaźniki techniczne dla sekcji wielkopłytowych. Dotyczyło to ilości zużytych materiałów, stosunku kubatury ogółem do powierzchni użytkowej, pracochłonności montażu itp.

Następne zlecenie dotyczyło opracowania wytycznych technologicznych budownictwa wielkopłyтового i organizacji budowy do założeń projektowych osiedla Bieńczyce Nowe. Opracowanie przytaczało program efektów izbowych i nakładów finansowych na osiedle do 1965 r. Zakładano, że realizacja uzbrojenia i budowa głównych dróg rozpocznie się w 1960 r., zaś roboty kubaturowe w następnym. Pierwsze 1700 izb mieszkalnych miało być oddanych do użytku w 1961 roku.

Planowaliśmy, że już te pierwsze budynki mieszkalne będą mogły być realizowane w technologii wielkopłytovej. Rychło jednak okazało się, że wdrożenie III stopnia uprzemysłowienia jest bardzo skomplikowane. Punkt ciężkości przesunął się ze spraw projektowych na problemy infrastruktury technicznej, niezbędnej do realizacji tego budownictwa.

Potrzebne były, na przykład, dźwigi montażowe o udźwigu 70-80 tnm, a takich w Polsce jeszcze nie produkowano. Również Zakłady Prefabrykacji Żelbetowej w Łęgu nie miały żadnych możliwości, aby uruchomić produkcję jakichś elementów wielkopłytowych. Wiązało by się to wprawdzie z koniecznością budowy nowych hal, gdyż istniejące zajęte były, między innymi, na produkcję elementów wielkoblokowych.

O poligonowej produkcji płyt wielkowymiarowych też nie można było nawet marzyć wobec ich skomplikowania, wielowarstwowej budowy itd. Zwłaszcza, że jedynie sen-

sowna była produkcja płyt w pionowych formach bateryjnych, a takie w warunkach otwartych, polowych poligonów trudno byłoby zastosować.

Tak więc, również moja analiza wykazała, że z budownictwem wielkopłytowym trzeba jeszcze trochę poczekać, i to w skali całej Polski, około 10 lat. Dopiero w latach 70. przystąpiono do prawie seryjnej budowy skomplikowanych wielkich fabryk domów, produkujących na dużą skalę elementy wielkopłytowe dla budownictwa mieszkaniowego. Wybudowano wtedy w kraju w ciągu kilkunastu lat około 160 takich fabryk domów. Faktycznie dopiero wówczas możliwe było zdecydowane zwiększenie budownictwa mieszkaniowego w Polsce do prawie 300 tys. mieszkań rocznie.

Po 1989 roku, już w nowej konstelacji ustrojowej, technologii budownictwa wielkopłytowego zostały niemal całkowicie zarzucone, zaś prawie wszystkie fabryki domów zbankrutowały. Po prostu okazały się one niepotrzebne w sytuacji wycofania się państwa z działalności inwestycyjnej i z utopijnego obowiązku zapewnienia mieszkań wszystkim obywatelom. W rezultacie w ciągu krótkiego czasu możliwości realizacyjne krajowego przemysłu budowlanego na dziesiątki lat ograniczone zostały z powrotem do poziomu osiągniętego już w drugiej połowie lat pięćdziesiątych. Konsekwentnie zlikwidowano też wszelkie państwowe biura projektowe, kombinaty budowlane i dyrekcje inwestycji miejskich.

Od VI.1959 r. zatrudniony zostałem dodatkowo przez DBOR-KM na 1/2 etatu na stanowisku Głównego Inspektora d/s Specjalnych. Tak było w umowie. Faktycznie to głównie prowadziłem sprawy koordynacji, konsultacji, opiniowania spraw, związanych ze wzajemną współpracą pomiędzy MBSiPB, gdzie aktualnie pracowałem i DBOR-KM, gdzie pracowałem przedtem na pełnym etacie. Taki, częściowo, jakby ciąg dalszy poprzedniej pracy.

Byłem też w tym czasie członkiem Komisji d/s Uprzemysłowienia, koordynującej i podejmującej zasadnicze decyzje w zakresie wdrażania uprzemysłowionych metod budownictwa ogólnomiejskiego w Krakowie. Komisja skupiała po jednym przedstawicielu głównych przedsiębiorstw wykonawczych, zakładów prefabrykacji, biur projektowych i inwestora miejskiego. Ja pełniłem w niej funkcję sekretarza i reprezentowałem równocześnie inwestora DBOR-KM i biuro projektowe MBSiPB.

Biuro projektowe, w którym pracowałem, zlokalizowane było w rejonie Parku Jordana i oddalone od mego miejsca zamieszkania w Nowej Hucie o około 9 kilometrów. Dojeżdżałem do pracy tramwajem, tracąc 40 minut na przejazd w jedną stronę. Ale urozmaicałem sobie przejazd czytaniem książeczek z serii „Tygrys”, które specjalizowały się w różnych sensacyjnych tematach. Między innymi zawierały opisy wielkich bitew w historii ludzkości, a mnie takie pisane militaria zawsze interesowały. W tych „tygryskach” obok wojen Aleksandra Macedońskiego, Hannibala, Napoleona I, najszerzej prezentowane były wielkie bitwy na froncie radziecko-niemieckim z okresu II wojny światowej. Wiele z tych opowieści było autorstwa L. Moczulskiego.

Rano i po południu, w czasie przejazdów do i z pracy, tramwaje były zawsze zatłoczone. Wszak praktycznie wszyscy gdzieś pracowali. Bardzo dużo mieszkańców Nowej Huty pracowało wtedy też w Krakowie, mimo, że miasto NH budowane było tylko dla obsługi kombinatu hutniczego.

Jechałem prawie z końcowego przystanku, ale nie zajmowałem miejsca siedzącego, stawałem jedynie w takim miejscu, aby mieć możliwość swobodnego czytania „tygrysków”, nawet w dużym tłoku. Pomimo uciążliwości przejazdów, nie raz nie mogłem się doczekać na kolejny przejazd, a właściwie na dalszy ciąg czytanych historyjek, bo pilnowałem zasady czytania jedynie w czasie jazdy tramwajem.

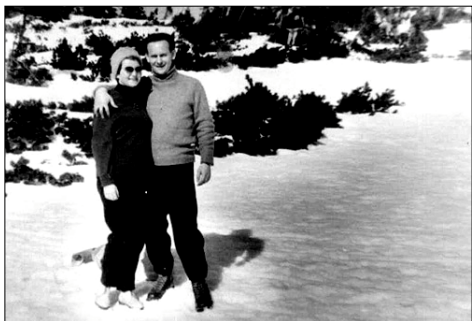
Jednakże po kilku miesiącach moje biuro przeniosło się do nowozbudowanych, solidnych baraków przy ulicy I. Daszyńskiego. Było to nieco bliżej do Nowej Huty, zaś

zupełnie bliźniętko od mieszkania mojej nowej sympatii.

Bowiem nareszcie zamiast błądzić uczuciami po odległych Łodziach czy Kielcach, zakotwiczylem je w Krakowie. Moja urocza sympatia miała na imię Kasia i była, i jest, ode mnie o 11 lat młodszą. Pracowała wtedy w szacownej instytucji na stanowisku inspektora d/s nieletnich. Praca ta bardzo ją absorbowała, wiązała się z nocnymi dyżurami, dużą odpowiedzialnością i pewnym niebezpieczeństwem. Bo nieletni wykolejeńcy w każdej epoce są agresywni i niedostosowani do otaczającego ich świata.

Mama Kasi nie pracowała już od kilku lat, a jedynie prowadziła gospodarstwo domowe. Korzystałem z tego faktu i często zachodziłem na pyszne i na pewno zbyt obfite obiady. Po kilkunastu latach stołowania się w restauracjach i barach, miałem próbkę domowej kuchni.

Ojciec, przedwojenny zawodowy oficer w randze majora, służący w II Batalionie Budowy Mostów w Legionowie, zginął w czasie wojny w Katyniu. Kasia nie pamiętała go już zupełnie, bo w 1939 r. miała zaledwie dwa latka.



**Z Kasią na Równi pod Śnieżką**

miesiący odbył się nasz ślub i wesele. Świadkami byli dwaj moi bardzo sympatyczni koledzy T. Cieślak i B. Rzymek z działu dokumentacji DBOR-KM. Po ślubie cywilnym był obiad dla proszonych gości w historycznym „Wierzyńku”. Zaś w dniu następnym, po ślubie kościelnym, odbyło się przyjęcie weselne w małym 2-izbowym mieszkaniu mamy Kasi. Było około 20 osób, głównie rodzina Kasi. Z mojej strony przyjechała mama z Kępną i siostra z mężem z Wrocławia.

Było szumnie i wesoło, zaś ja zapewne za dużo tańczyłem i za dużo wypilem alkoholu. Byłem prawie pijany, gdy w nocy odprowadzałem, wraz z Kasią, część gości na postój taksówek i sami mieliśmy jechać do mojej garsoniery w Nowej Hucie. Bezmyślnie wsadziłem lewą nogę między pręty stalowej kraty studzienki przypięwicznej i nie mogłem jej wyciągnąć. Potem, na kilka dni, noga opuchła i miałem trudności z chodzeniem.

W niewiele dni po ślubie żona przypomniała mi, że swego czasu pożyczyłem od niej, lecz nie oddałem 500 złotych. Dla niej i jej mamy była to znaczna suma i miały przez kilka dni finansowe problemy, bo było akurat na końcówce miesiąca. Zaniemówiłem na chwilę, wreszcie wystękałem przytomnie, że będę spłacać tę pożyczkę do końca swego życia. No i faktycznie spłacam ją, z należnym oprocentowaniem, już ponad 40 lat

Tego lata, chyba po raz pierwszy, nie pojechałem na żadne wczasy. Za to z Kasią wiele błądziliśmy po Krakowie, byliśmy w Zakopanem, Ojcowie. Raz, odwożąc ją do jej domu, nie miałem przy sobie pieniędzy na zapłacenie taksówki. Pożyczyłem więc od niej 500 złotych w jednym banknocie, jaki akurat posiadała przy sobie. Na drugi dzień zapomniałem jednakże oddać pożyczkę, jak to zwykle bywa przy małych kwotach.

Wreszcie zdobyłem się na odwagę i oświadczyłem się. Chyba to było w czasie spektaklu w teatrze, ale dokładnie już nie pamiętam.

Oświadczyzny zostały przyjęte i za kilka

